Lwów, 9. Września. Nr 108. Rok 1854.

NOWINY

Wychodzą we *Wtorek, Czwartek i Sobotę.* We Lwowie prenumerata roczna **6** Złr. — półroczna **3** Złr. — kwartalna **1** Złr. **30** kr. — miesięczna **30** kr. m. k. W kraju z przesyłką pocztową rocznie **8** Złr. — półrocznie **4** Złr. — kwartalnie **2** Złr. m. k.

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza pismem petyt w przedziałce za jednorazowe umieszczenie po **3** kr., za nastęр. po 1½ kr. i za dopłatą 10 kr. stepl. za każdorazowe umieszczenie. Bióro expedycyi w księgarni *H. W. Kallenbacha*

DZIWO-ŻONA.

Powieść społczesna

przez

Zygmunta Kaczkowskiego.

X.

(Ciąg dalszy).

Więc i dla Kamila mogły były te cierpienia mieć jakiś urok, jakąś stronę poetyczną, ponętną, a przynajmniej mogły być bardzo znośnemi — mogły mówię, ale niemi nie były. Na to bowiem potrzeba było, ażeby prócz tej nieszczęśliwej miłości nic innego mu już nie dolegało, i ażeby zresztą inne go za to niejako wynagradzały okoliczności. A tak wcale nie było, — położenie jego bowiem było ze wszystkich względów dość nieszczęśliwe.

Więc najpierwej musiał on ze swojemi cierpieniami siedzieć zamknięty w swoim pokoju i ani krokiem się zeń nie wyruszać. To nakazywał wzgląd na bezpieczeństwo jego osoby i na jenerała, który się odważył dać mu u siebie przytułek, — i już to samo było dla niego cierpieniem. Potem, w tym pokoju ani w domu całym nie miał on żadnej rozrywki. Jenerał go zaopatrzył kilkunastoma książkami, ale te wszystkie xiążki zawierały w sobie tylko samego Stolberga. Z musu i ze znudzenia obeznał się Kamil bliżej z tym starym hrabią, którен także za życia był jenerałem, ale im bliżej się z nim zapoznawał, tem tylko stęchlejszą w nim znachodził zgniliznę, tem mocniej duszące wyziewy skoszlawiałego umysłu, aż nakoniec nie widział w nim nic tylko zabijającą truciznę. Gdyby był się wziął do niego z swej własnej woli i miał przy nim i inne xiążki, to może był-by go cał[illegible] nawet bez znudzenia przeczytał, — wszakże był przy[illegible]zajony do studyów i xiążek narzucanych przepisami s[illegible]nemi, — ale przymuszony do odczytania rozwlekłego pedanta i z nim jedrym zamknięty sam na sam, tak się nim znudził i przesycił, że każde zetknięcie się z nim miał sobie za najnieznośniejszą pańszczyznę. Pomimo to jednak musiał go czytać i prawie na pamięć się uczyć, bo miał zeń zrobić wyciąg dla jenerała. Nakoniec i sam stosunek z jenerałem, to jako z ojcem tak okrutnej córki, to jako z tyranem gwałcącym go do bliskiej znajomości z Stolbergiem, to nareszcie jako z komendantem nad całą armią starych przesądów i najwstreczniejszych opinii stał się dla niego czemś takiem, co mu zatruwało każdą chwilę jego istnienia w tym domu, co mu ściskało piersi i wieczną gorycz utrzymywało na ustach.

Wszakże jeszcze niedosyć tego, — śród tych okoliczności albowiem snuła się jeszcze nić jedna, która wprawdzie nie była tak czarną stanowczo, jak tamte, jednak tak jakoś dziwnie się w oczach Kamilowi mieniła, że nie mógł patrzeć na nią inaczej, jak tylko z niechęcią i prawie z bojaźnią. Tę nić zaś przędła własnemi rękami swemi sama pani marszałkowa.

Prawdziwa weteranka ta w romansach i wszelkich awanturach miłośnych, jakeśmy o tem już nadmienili powyżej, zaraz z początku zaczęła okazywać wiele sympatyi dla nieszczęśliwego młodzieńca. Sympatyę tę objawiła ona wprawdzie zrazu li tylko przez to, iż wzdychała zdaleka nad tym, który był tak młodym i już tak nieszczęśliwym; atoli takim był tylko początek. Albowiem już po upływie tygodnia poczęła ona systematycznie coraz bliższą zabierać z nieszczęśliwym znajomość. Kamil był nieśmiałym i nieświadomym obyczajów światowych, i przez to niechcący stawiał zabiegom pani marszałkowej drobne wprawdzie ale nieustające przeszkody; ale to nie zbijało wcale z tonu zręczną i wyćwiczoną kokietę. Owszem nawet, niewinność i nieśmiałość młodzieńca tylko tem ponętniejszym i więcej zajmującym go czyniła w jej oczach a wynikające ztąd przeszkody to były fraszki dla tej, która zwyciężała hrabiów niemieckich i kawalerów angielskich. Dla wyścigowego bieguna, który przesadzał murowane bariery w Anglii, przypadkowy steeple-chasse to zabawka. To też i Kamil miał się do niej nielepiej, jak polowiec szlachecki do prawdziwego vollbluta i nie czuł w [illegible]bie nawet siły do oporu przeciwko jej różnym, dziwnie ni[illegible]zawsze zręcznym manewrom. Nie czuł on [illegible]znawał potrzebę jakiegokolwiek oporu. Pani m[illegible]bowiem prowadziła grę swoją bardzo pomału [illegible]ze pod zasłoną serdecznej sympatyi i wymownego [illegible]łczucia, nie dla niego, ale dla jego nieszczęścia, — t[illegible]że Kamil przez długi czas ani się mógł domyślać, że-by pod tą zasłoną się coś ukrywało i czasem rzeczywiście schwycony za serce, sam się dobrowolnie o krok bliżej przysuwał ku wędce. A szły te rzeczy tym torem.

Siadała ona zawsze przy herbacie tuż koło niego, i to kazała mu sobie czemś służyć, to mu dziękowała za grzeczność, to pochwaliła jego zręczność i pamięć, to wypytywała go o coś, tak zgoła, że przez cały ciąg herbaty so-

bą go zajmowała. Poźniej zaprowadziła zwyczaj, że Kamil po herbacie przez cały wieczór zostawał w salonie, i z początku czytywał tylko gazety, lecz później na jej żądanie i xiążki. Xiążki te umiała ona zawsze tak wybierać, że jenerał zaraz po pierwszej stronnicy odchodził a po drugiej odchodziła Adela, bo była to zwykle xiążka już przez nią czytana. Wtedy pani marszałkowa przerywała czytanie i zawiązywała rozmowę, a przedmiotem tych rozmów były zawsze losy Kamila, których ona z wielkiem zajęciem słuchała, litując się nad nim to westchnieniami, to wymownem spojrzeniem, to jakimś wykrzyknikiem pełnym głębokiego współczucia. Czasem nawet, kiedy porę upatrzyła po temu, przerywała mu czytanie wprost wykrzyknikiem:

— Ach! przestań pan, panie Kamilu! — nigdy nienazywała go Łaskim, tylko zawsze Kamilem, — przestań pan! pan masz głos taki rzewny, tak tęskny, tak przemawiający do serca, że ja nie jestem w stanie słuchać pana bez głębokiego wzruszenia. Cokolwiek pan czytasz, ja nic nie rozumiem, ja tylko słyszę głos pana, który mi maluje jego duszę cierpiącą, jego serce zakrwawione, jego młodość tak piękną, tak wzniosłą, tak pełną smutku i żałoby. Pan mi się zdajesz być kwiatkiem najpiękniejszego ogrodu, wyrwany w chwili kwitnienia i przesadzonym w jakąś puszczę czarną, głuchą, bezludną, ażeby tam uwiądł samotnie i zginął. Ach! panie Kamilu! jak panu potrzeba ludzkiego serca, przyjaznej duszy, pieszczonej ręki, ażebyś się pan mógł utrzymać przy świeżości tych pięknych uczuć, któremi przepełnione masz serce, przy sile ducha, który jest tak wzniosłym i pełnym przyszłości, przy czerstwości życia, które tak piękne i zaledwie zaczęte!...

Kamil się tylko rumienił i oczy opuszczał ku ziemi, nie wiedząc sam, jak ma być wdzięcznym tej kobiecie, która ma tyle dla niego sympatyi.

Atoli z czasem coraz mniej było czytania a coraz więcej rozmowy, a apostrofy pani marszałkowej nabierały coraz więcej wyrazu i plastyczności.

— Ach! panie Kamilu! jakie pan masz oczy, to przechodzi wszelkie wyobrażenie. Takie oko może mieć tylko człowiek jenialny. Gdybym wiedziała, że pana tem nie zepsuję, to-bym panu powiedziała, że ze wszystkich znakomitości europejskich, które znałam swojego czasu, a znałam je wszystkie, tylko jeden człowiek miał takie oko, i to był pierwszy jeniusz na świecie.

Kamil nawet nie śmiał zapytać, kto to był taki?

— Wielu już pięknych męszczyzn widziałam w mem życiu, — mówiła innym razem zwodzicielka do swojej ofiary, — ale jeszcze ani jednej męskiej twarzy nie zdybałam takiej, której-by się nie dało coś zarzucić. Pan się nie znasz na tem i nie wiesz zapewne, ale pewną jest rzeczą że najsłabszą stroną u męszczyzn są usta. Nie widziałem jeszcze ani jednego męszczyzny z ustami uformowanemi tak, jak-by być właściwie powinny. Xiąże Józef nawet miał usta za nadto szerokie a wargi za grube, i to go bardzo szpeciło. Napoleon prześliczne miał usta, ale cóż, kiedy tak zawsze były ściągnięte i gniewne, że przez to całą piękność traciły! Byłam młodziutką dziewczynką natenczas, ale tego dostrzegłam i powiedziałam to w konwersacyi Savaremu; pamiętam nawet, że mi odpowiedział dowcipnie, utrzymując, że usta są właśnie najsłabszą stroną u kobiet. Pomimo to jednak ja nie ustąpiłam od mego zdania i z czasem przyszłam do tego przekonania, że męszczyzna wcale nie może mieć ust uformowanych bez wady w rysunku. Teraz dopiero widzę... ale idź-że pan sobie! a przynajmniej zakryj swe usta, bo mi kłamstwo niemi zadajesz.

Kamil zakrył twarz chustką a pani marszałkowa się śmiała mówiąc:

— Ach! jaki pan jesteś wyborny!

Takie dygressye pani marszałkowej od przedmiotu rozmowy lub treści czytanej xiążki zaczęły zastanawiać Kamila, różne w różnych chwilach czyniąc na nim wrażenie. Pani marszałkowa bowiem postępowała zwolna wprawdzie ale stanowczo na swojej drodze, jej wyrazy stawały się coraz jaśniejszemi, jej uśmiechy nabierały coraz więcej tkliwości, jej spojrzenia coraz więcej ognia, a treść jej rozmów coraz więcej materializmu i przymilającej się lubości.

Gdyby takie zdarzenie było zdybało Kamila kiedy indziej i śród innych okoliczności, niezepsuty jeszcze pod tym względem młodzieniec był-by zapewne zaraz w chwili dostrzeżenia haczyka przy wędce, uciekł od takiej Putifary. Atoli tutaj zakochany i szalejący w nieszczęśliwej miłości, przygnieciony innemi niemiłemi sobie stosunkami a do tego jeszcze siedzący na łasce w tym domu, ledvie śmiał się tego haczyka domyślać. A i w tych chwilach jeszcze, kiedy zdawało mu się, że widzi jak najwyraźniej prawdziwy powód sympatyi marszałkowej ku sobie, passował się z samym sobą, ażeby temu nie wierzyć i tylko się obawiał, ażeby jego domysł dowodniej się nie sprawdził i nie wprowadził go w jakąś taką kollizyę, której w niewinności swojej nie umiał sobie wyobrazić dokładnie, ale o której wiedział dobrze, że była-by trudną i niebezpieczną.

I to go napełniło ustawiczną obawą, mięszało szyk jego myśli i przyczyniało się bardzo do jego znajomych ram już cierpień i dolegliwości. Wszakże śród tego powolnego postępu miłośnych manewrów pani marszałkowej, zaszło jeszcze jedno zdarzenie, które te różne drobne okoliczności, towarzyszące teraźniejszemu życiu Kamila, jeszcze bardziej pogmatwało ze sobą i jeszcze dotkliwszemi uczyniło dla niego. A zdarzeniem tem była pewna malenka zmiana w stosunku Adeli do ciotki.

Kobiety te, jakkolwiek tak różne od siebie wiekiem, zdaje się, że nie różniły się o wiele od siebie dowcipem i

zręcznością prowadzenia swych interesów. I jeżeli Adela potrafiła tak pokierować Kamilem i sobą, że najbystrzejsze nawet oko nie było w stanie odkryć jej dawniejszej znajomości ze schronionym w dom jej ojca młodzieńcem, toż i jej ciotka także nie mniej zręcznie prowadziła swoją małą intrygę, mającą osięgnąć cel taki sam, jaki już przedtem osiągnęła i którego osiągnięcie tak zręcznie ukrywała jej synowica. Jakoż o to, ażeby się tajemnica której z nich przez zapomnienie się lub nieostrożność odkryła, żadna z nich nie była w obawie, bo obydwie znały dobrze pola swoich wzajemnych popisów, umiały przewidzieć wszystkie niepożądane wypadki i umiały się naprzód przeciwko nim ubespieczyć. Wszakże co się nie mogło wykryć mocą nieprzewidzianych wypadków, zaczęło się pomału wykrywać na drodze całkiem prostej i dlatego właśnie, że tak bardzo prostej, tem mniej spodziewanej.

Wspomnieliśmy już powyżej, że kiedy tego roku te obydwie kobiety przybyły w dom jenerała i jenerał im zapowiedział, że ich już od siebie nie puści, zapowiedź ta wcale różne sprawiła na nich wrażenie. Albowiem podczas kiedy pani marszałkowa ani mówić sobie nie dawała, ażeby miała w tej leśnej pustyni nietylko resztki życia, ale nawet i lato całe przekwasić, Adeli bardzo się tu podobało, chwaliła często to dzikie ustronie i ani wspomniała o powrocie do miasta. Osiedziawszy się dłużej w tem miejscu, kiedy Adela zrobiła ową przypadkową znajomość z Kamilem a pani Marszałkowa już się całkowicie znudziła, ich wzajemne uczucia objawiały się jeszcze wyraźniej a to nawet do tego stopnia, że nieraz o to pomiędzy synowicą i ciotką żwawe się odprawiały dysputy, bo im więcej tamta była zachwyconą tem swobodnem powietrzem wiejskiego życia, tem bardziej tej dawała się uczuwać próżność takiego życia i tęsknota za miastem. Z przybyciem Kamila w dom jenerała na jakiś czas umilkły dysputy, atoli z jego znów osiedzeniem się w tym domu, poczęły się znowu pomału objawiać zdania obudwóch kobiet o pobycie na wsi, — ale dziwnym wypadkiem te zdania były dziś całkiem inne. Zmiana ta zachodziła bardzo pomału i z początku nie dawała się wcale dostrzegać, — bo pani Marszałkowa tylko zaprzestała na wieś wymyślać a Adela przestała się nią zachwycać. Atoli z czasem marszałkowa poczęła znajdować coraz to nowe na wsi piękności, a Adeli poczęły się nasuwać nęcące wspomnienia miasta. Później Marszałkowa poczęła stanowczo wychwalać wiejski spokój i leśne powietrze, które, jak powiedziała bardzo jej dobrze robiło; Adela zaś nie wahała się wcale, przyznać się do tego, że już ma dosyć tego powietrza i przekonuje się z każdym dniem więcej, że i najpiękniejsza natura jest jednostronną i dla oświeconego człowieka niedostateczną. Aż też nakoniec przyszło do tego, że Adela zaczęła się nudzić piekielnie, stała się złą, pochmurną, zgryźliwą i wzdychała głośno za powrotem do Lwowa, Marszałkowa zaś wypowiedziała wyraźnie, że tak się tutaj przyzwyczaiła, tak jej tu dobrze, że ani myśli się stąd wyruszać.

(D. c. n.)

Nam jako tako!

Nam jako tako! ciche poddasze,
Łacno przed wiatrem, deszczem osłoni;
Nam jako tako! bo serca nasze,
Od dziennych zmartwień chwila snu zbroni.

Nam jako tako! w ciężkiej niedoli,
Z szaloną pieśnią, przy pełnej czarze!
Nieraz zapomnim, że serce boli,
Poniesiem szczęście, choć szału w darze.

Nam jako tako! choć łez do licha,
Często ból ciężki dziewczę uśmierzy:
«Bóg litościwy!» poszepcze z cicha,
I jakoś jemu serce uwierzy.

Nam jako tako! na własnej ziemi,
Ojciec i matka pieszczot nieszczędzi;
I cierpieć milej, między swojemi,
A choć i umrzeć — na własnej grzędzie.

Ale kto losu burzą pędzony,
Tułać się musi drogą żywota,
Któż w obce pójdzie pocieszać strony,
Gdy go za krajem porwie tęsknota? —

Któż się zlituje między obcemi,
Kiedy zawoła w chwili skonania:
Chociaż piędź ziemi! garstkę mej ziemi!
Podajcie ludzie do pożegnania?

O! biednej duszy ostatnie słowa
Na obcej ziemi kto tam zrozumi?
Bo to dzwięk obcy! to polska mowa!
Więc bez spółczucia wiatr m przeszumi.

Bruno B.

Mormoni.

(Ciąg dalszy.)

Nowy Syon czyli Jerozolima wznosił się przy powszechnym zapale i wzorowej pracy, dobry byt się powiększał, a z nim zawitał pokój w gromadzie Mormonów i liczba ich rosła. Ale wnet się poczęły starcia z innowiercami, przychodziło do zaczepek, i Mormoni oczywiście skrzywdzeni, ale jeszcze zasłabi, aby się oprzeć sąsiadom, niekarconym przez władze, lękające się opinii publicznej, przenieśli się na lewy brzeg Missouri do hrabstwa Clay, a ztamtąd znowu do hrabstwa Caldwell, gdzie znów całą potęgę umysłu sfanatyzowanego i pracy rozwinęli.

Tymczasem osada pierwotna Mormonów w Kirtland olbrzymio się wznosiła. Rósł handel, banki powstawały, fa-

bryki się mnożyły. Ale wszystko to było gorączkowo poczęte i wykonywane. W r. 1838 upadły źle fundowane banki, z niemi upadł kredyt, i Mormoni jak najprędzej wynieśli się do swoich braci nad rzeką Missouri, i osiedli tam w hrabstwach Cladwell, Davies i Carrol, i założyli miasto *Adam* na miejscu, na którem wedle Smitha praojciec ludzi pierwszy raz błogosławił dzieci swoje. Prześladowania, które Mormoni ucierpieli, zamiast im szkodzić, podniosły ich w opinii publicznej, i pomnażały liczbę zwolenników.

Tak więc nad rzeką Missouri była teraz główna siedziba świętych dnia ostatecznego, ale i tu wpadli w kollizyę z poganami, którzy im chcieli odebrać wszelki wpływ od zarządu hrabstw. To tylko spowodowało Smitha do lepszego nadzorowania niektórych zarażonych owieczek trzody swojej. Aby utrzymać sławę objawień swoich, umyślił nieopuścić Edenu nowego, bronić go do upadłego, albo nakoniec wedle przykazań swojej religii powypędzać pogan. Dnia 4. Lipca 1838 podczas wyborów urzędników hrabstwa miał Smith gwałtowną mowę do swoich uczniów. Mormoni przeprowadzili swoje głosy, ale zhańbili się paleniem i rabowaniem innowierców i pobili garstkę milicyi, na poskromienie ich wysłanej. Ale wnet wysłał gubernator państwa Missouri oddział liczniejszy. Rozbrojono Mormonów, a proroka i obu apostołów poprowadzono do więzienia, gdzie im miano wytoczyć proces o zbrodnię stanu za zgwałcenie praw wyborowych. Uciekli wprawdzie, ale wszystkie osady Mormonów śród najokropniejszej zimy niezmierzonemi stepami musiały ciągnąć dalej na zachód. Z głodu, znużenia i mrozów wycieńczeni padali w śniegi i umierali, mała tylko garstka i z małemi zasobami dostała się do państwa Illinois, gdzie nędza ich i prześladowanie litość obudziły, a dla nich wielce przydatną były nauką. Tu im podano odzienie, bydło, zbroje, przyjęto za obywateli. Mormoni znowu wzięli się do pracy, w krótce zakwitnęło nad Missisippim miasto *Nauvoo* (miasto piękności) i zasłynęło. Przepyszna wzniosła się świątynia, i prorok energiczniej, niż kiedy, wziął się do uorganizowania swojej gromady.

Tak zdawało się, iż tu już na zawsze ostaną się Mormoni. Już 4 lata minęły od ich przybycia, liczba ich wzrosła do 100,000; ale to szczęście odurzyło proroka, stawał się coraz butniejszym. Wnet uprzykrzono sobie Mormonów w Illinois i Jowa jak przódy w Missouri, gorszyły innowierców ich obrzędy religijne, zwyczaje (szczególnie wielożeństwo), nakoniec zarozumiałość. I między Mormonami nastąpił rozstrój umysłów. Niektórzy Mormoni, niekontenci z samowładztwa i obyczajów proroka, powstali przeciw niemu w czasopiśmie *Expositor*. Prorok bronił się w podobnem czasopiśmie *Osa* a nakoniec podmówił kilku zapaleńców, aby zburzyli prassy Expositora, co ciż uskutecznili.

Tu się przerachował Smith. Naruszył kardynalne prawo Amerykanów, wolność; to mu bezkarnie ujść nie mogło. Gubernator powołał go dwa razy przed sąd, i gdyby był się stawił, byłby pewnie przed kratami przysięgłych za niewinnego był uznany. Ale on ogłosił Nauvoo w stanie oblężenia, i prawej władzy przeciwstawił bunt, do czego niebył z prawa upoważnionym. Gubernator udał się więc do Carthago, siedziby hrabstwa Hancock, i posłał do proroka wezwanie, aby się sam stawił i z oskarzycielami ugodził. Smith nie usłuchał wezwania przyjacielskiego, i posłał tylko dwóch uczniów swoich do niego. To niepoważanie urzędu rozgniewało gubernatora, rozkazał milicyom wystąpić, pojmać i przystawić proroka i jego patryarchę Hyruma, którzy umknęli do Jowa, lecz wnet się opamiętali, wrócili, rozbroili Mormonów w Nauvoo, i stawili się, ale już poniewczasie, do Carthago. Tu ich uwięziono, dodano im straż do obronienia od napaści pospólstwa innowierców, ale gdy gubernator po niejakim czasie, myśląc że już się zapalczywe tłumy uspokoiły, straż odwołał, rzuciło się pospólstwo Carthagu na nieszczęśliwych Mormonów, wpadło do więzienia i więźniów pomordowało. Podparł drzwi Smith, ale gdy już się chwiały, wyskoczył, zranił kogoś strzałem z pistoletu i sam ugodzony kulą, skonał, domawiając słów: „O! Boże! mój ty Panie.” Jęk i żałoba zaległa Nauvoo na tę wieść okropną. Ciała Smitha i Hyruma pochowano na miejscu tajemnem, zabójcy uszli bezkarnie. Całą sprawę wzięto za gatunek sądu opinii publicznej, sądów tak zwanych „*lynch.*”

Śmierć proroka, który w 14 latach zyskał do 140,000 zwolenników, wiele dobrych instytucyj zaprowadził, w ostateczność wpadł nakoniec, śmierć jego może była potrzebną dla szczęścia jego sekty. Mormoni przyszli do rozumu. Na miejsce Smitha nie wybrano ani Rigdona, ani tych, których prorok sam w testamencie swoim, już dawniej w archiwie Mormonów złożonym, wyznaczył, ale niejakiego *Brigham-Young*, człowieka rostropnego, od wszystkich sekt lubionego, który w r. 1853 został gubernatorem powiatu Utah, dokąd się wnet Mormoni znowu przesiedlili.

Uznali bowiem, że w Illinois wzburzenie naprzeciw nim doszło już do najwyższego stopnia, i że nie mają czego dalej w Nauvoo pozostać. Umyślili więc wcześnie dobrowolnie się wynieść. *Rigdon* z swoimi stronnikami ruszył do Pensylvanii, gdzie odtąd nic o nim nie słychać. *J. Strang* współubiegacz o następstwo proroka udał się do pogranicznego Wisconsin, na północne brzegi jeziora Michigan. *William Smith*, brat proroka, i *Szymon White* wynieśli się do Texas.

Ale główna i najliczniejsza część pod nowym naczelnikiem ruszyła na zachód. Na prawym brzegu Missouri w powiatach, już nie cywilizowanych, gdzie codziennie szczuplejsze plemiona wolnych Indyanów uganiają się za bawołami dzikiemi, jedynym pokarmem swoim, w *Concil Bluff* stanęli, naradzając się, gdzie się dalej udać, i stale osiedlić. Wybór ich padł na piękną dolinę nad słonem jeziorem w powiecie Utah. W nagrodę, że posłuszni rozkazowi pre-

zydenta, do wojny między Stanami Zjednoczonymi i Mexykiem stawili 500 ludzi zdatnych, choć im tych właśnie było potrzeba w obecnem krytycznem położeniu, dostali pozwolenie obierania gubernatora tego, oprócz nich przez samych prawie Indyanów zamieszkanego powiatu, i zupełnie wolny między sobą zarząd.

Powiat *Utah* utworzony z kawałka wschodniej Kalifornii górnej, odgraniczony Skałogórami od wolnych Indyaców, zawiera w sobie 8880 mil kwadratowych. Liczba Mormonów wynosiła wtedy w tej krainie, większej od Hiszpanii 20,000 głów, która pewnie dotychczas bardzo się pomnożyła. Reszta Mormonów 130,000 rozrzucona po całym świecie.

Dnia 24. lipca 1847 r. który-to dzień co roku obchodzą, wstąpił polityczny i religijny naczelnik Mormonów, czyli jak się nazwał *prezydent*, w wspomnioną dolinę, objął ją w posiadanie, i zaraz wyznaczył plac na małą warownię, na obronę od napaści Indyanów, a do pracy w polu tak się wzięli, że gdy w następnym roku wynalezione kopalnie złota w Kalifornii zasłynęły, Mormoni w Utah wszelkiemi potrzebami opatrywali tam wędrujących. Żyzność ziemi sowicie nadgradza pracę Mormonów.

Dolina, którą osiedli, nazywa się *Deseret*, właściwie *Królestwo* Deseret, a miasto nazywa się w potocznej mowie *miastem wielkiego jeziora słonego*, a w mowie religijnej *Nową Jerozolimą*. Przedziwnie wygląda to miasto z swojemi małemi, białemi, w proste uliczki ustawionemi, a w zieleni lśniącemi domkami. Na około doliny Deseret, szczególnie na północy, założono kilka miast, dziś już sławnych i kwitnących.

Na północnej stronie stolicy wznosi się dosyć wysoki pagórek, nazwany *pagórkiem chorągwiowym*, bo na nim powiewa chorągiew niezmiernej wielkości, na której są znaki wszystkich bander świata, mająca przedstawić ów sztandar, pod którym zgarną się wszystkie narody ziemi, wedle słów Jezajasza proroka (18. 3.) (D. n.)

Listy gospodarza wiejskiego.

II.

△ W poprzednim liście przyrzekłem mówić o szkole rolniczej w Dublanach. Pierwsza myśl, jaka mi się nasuwa, jest to myśl o dyrektorze i professorach zakładu. Dyrektor jest duszą zakładu, professorowie są filarami, bez których cała budowa prędzej lub później runąć musi, bo bez nich istnieć nie może. Będzie więc rzeczą nieobojętną dla czytelnika, jeżeli przytoczę zdanie moje, czego od dyrektora zakładu rolniczo-przemysłowego wymagam, jeżeli spytam, czy pośród rodaków naszych znajduję człowieka, któryby pod względem publicznego zaufania, dobrej woli, i potrzebnych wiadomości sprostał zadaniu tak ważnej posady, wkońcu jeżli wymienię mężów, którzy sądem moim odpowiedzieć-by mogli powołaniu professorów z największą dla kraju korzyścią.

Od dyrektora zakładu rolniczo-przemysłowego wymagam odpowiedniej jego stanowisku praktycznej i teoretycznej wiedzy. Ze względu na praktykę wymagam, aby znał dokładnie stan teraźniejszy rolniczo-przemysłowy kraju naszego, jego wady i jego zalety, a znał przytem przez naoczne przekonanie się i przez własne doświadczenie postępy rolniczo-przemysłowe krajów przewodniczących Europie, aby umiał zdrowe zestawiać porównania i z nich w zastósowaniu do potrzeb kraju rzeczywiste wynosić korzyści.

Pod względem teoretycznej wiedzy, wymagam od dyrektora, aby przedewszystkiem był gruntownie obeznany z naukami przyrodzonemi, jako to z chemią teoretyczną i zastósowaniem do rolnictwa i przemysłu, z zoologią i z weterynaryą i nauką hodowli zwierząt domowych; z botaniką i nauką uprawy roślin; z mineralogią, geologią i geognozyą, i z temi połączoną znajomością użytkowania z kruszców, i z tych wszystkich skarbów, które ziemia w łonie swojem dla rolnika ukrywa.

Nie bez przyczyny kładę za pierwszy warunek usposobienia na dyrektora gruntowną znajomość wszystkich powyżej przytoczonych nauk; bo jakże może się obejść bez nich naczelnik rolnictwa krajowego, którego obowiązkiem, podsłuchać każdego podszeptu, dopatrzeć każdego skinienia całej przyrody, aby dogadzając jej potrzebom, dogodzić każdej potrzebie ludzkości,— którego obowiązkiem odkryć, że tak powiem, siłę żywotną naszej ziemi we wszystkich szczegółach, aby całą jej twórczą potęgę obrócić na korzyść rodaków.

Równie jak bez gruntownej znajomości nauk przyrodzonych, obejść się nie może dyrektor bez pewnej, ściśle do rolnictwa zastósowanej umiejętności nauk matematycznych, jako to fizyki, geometryi praktycznej, mechaniki i budownictwa.

Zdawało-by się, że człowiek posiadający taką teoretyczną wiedzą, jest samą doskonałością dyrektora; a przecież nie zawsze tak bywa; można mieć wiedzę najdoskonalszą wszystkiego, a niemieć daru zastósowania onej w życiu praktycznem, można mieć w głowie jak przyszły posąg Szekspira całą bibliotekę, a niemieć w zdrowe pomysły płodnego i twórczego ducha, umiejącego zastósować się do każdej okoliczności tak, aby z niej wydobyć najwyższe dla kraju korzyści, można być doskonałym w mowie lecz słabym w czynie, owo krótko przy ukończonej nauce można być niedołęgą; a niczego bardziej obawiać się nie należy, jak owego książkową pleśnią zamulonego rozumu, co to za życia zwodniczo błyszczy światełkiem spruchniałego drzewa, lub gwiazdką majowego robaczka,

a po śmierci prócz garstki ziemi żadnej nie zostawia po sobie pamiątki. Dla tego więc wymagam toż samo od dyrektora dowodu, że w praktyce przekonał o użyteczności tych skarbów, które zgromadził w dziedzinie nauki.

Ale na cóż tyle wiedzy, tyle zdolności wj ednym człowieku, który ma być tylko dyrektorem gospodarstwa w Dublanach i szkoły praktycznej dla rolników. W samej istocie wymagania te po dyrektorze zakładu agronomicznego mogą się wydawać za nadto przesadzone; atoli gdy się zastanowimy, że dyrektor jest duszą zakładu, który jako wzór rolnictwa i przemysłu, kierować ma moralnie usiłowaniami pojedynczych gospodarzy kraju, że od szczęśliwego zarządu praktycznej gospodarki w Dublanach, promienie szczęścia spływać będą na ojczyste niwy, że od teoretycznego dobrze do praktyki zastósowanego wykształcenia naszej młodzieży, pomyślność następnych pokoleń zawisła, i że tym wszystkim zadaniom ma podołać jeden człowiek, to wymagania moje po dyrektorze wcale okażą się miernemi, a gdy jeszcze dalej przypuścimy, że we wszystkich wątpliwych kwestyach, w wykładach naukowych dyrektor musi być sędzią, że na publicznych popisach uczniów, powinien umieć ocenić pojedyńcze zdolności, i że jest obowiązany dla bliższego przekonania się o dokładności wykładów professora we wszystkich naukowych przedmiotach uczniom stósowne zadawać pytania; to wymagania moje po dyrektorze okażą się koniecznemi, zwłaszcza że i tu nie stoimy u kresu jego obowiązków; dyrektor bowiem obowiązanym tożsamo będzie, w razie słabości którego z professorów, zająć jego miejsce na katedrze, a nawet przyjąć wykład naukowy kilku przedmiotów, ponieważ ile mi wiadomo, będą w początku istnienia zakładu tylko dwie posady professorów obsadzone.

I otóż mniej więcej powiedziałem, czego po dyrektorze zakładu rolniczo-przemysłowego wymagam; nasuwa się więc z kolei drugie pytanie, czy pośród rodaków naszych znajdziemy człowieka, któryby sprostał temu stanowisku?

Kraj, który w drugiej połowie dziewiętnastego wieku niema człowieka uzdatnionego na dyrektora zakładu rolniczo-przemysłowego, jest godnym litości, wyręczając się bowiem obcą pomocą i przyswajając sobie surowo wszystko, czem nas zachodnia cywilizacya darzy, będzie uczonym bez cechy w literaturze, a uginając się pod natłokiem obcego rozumu, zapomni o narodowym, a bóg wie czy nie o narodowości. —

Dzięki przedwiecznemu jesteśmy wolni od tej klątwy, bo mamy godnych zastępców w każdym naukowym zawodzie, a począwszy od Jana i Jędrzeja Sniadeckiego aż do Waltera z Krakowa i do imion dziś żyjących, ciągnie się nieprzerwany szereg mężów, celujących w gronie europejskich luminiarzy na polu nauk przyrodzonych.

Wszelako nie ubliżając wcale naukowości i osobistym zkąd inąd zasługom, muszę otwarcie powiedzieć, że wątpię, aby który ze znach dotąd kandydatów ubiegających się o posadę dyrektora, odpowiedział wszystkim przezemnie oznaczonym warunkom, — zwłaszcza gdyśmy z usunięciem się pana Żelkowskiego nigdy nieodżałowaną stratę ponieśli. Człowiek, który mógł we Francyj przewodniczyć nauce agronomii, którego z całem wylaniem na usługi krajowe poznałem, zasłużył na większe od nas uznanie, i życzyćby należało, aby komitet agronomiczny przy udowodnione swej troskliwości o dobro kraju użył możliwych środków w celu nakłonienia pana Żelkowskiego do przyjęcia posady, jeżeli już nie dyrektora, to profesora praktyki rolniczej, którą-to posadę we Francji w szkole agronomicznej w Grignon przez ląt cztery zajmował.

A gdy już o profesorach mowa, to niechaj mi wolno będzie zwrócić uwagę szanownego komitetu na pana Sawczyńskiego Dr. filozofii, znanego powszechnie ze swej niezmordowanej pracowitości, i nadzwyczajnej zdolności w wykładach naukowych fizyki i przedmiotów matematycznych.

W razie, gdyby szanowny komitet chciał usłuchać głosu publicznego, uznawszy go sprawiedliwym, raczył wglądnąć w słuszność, i ułożył się stanowczo tak z panem Maksymilianem Żelkowskim, jak i z panem Sawczyńskim, to kraj by zawdzięczył tyle już zasłużonym członkom komitetu wybór szczęśliwy, a zakład agronomiczny uzyskał-by dwa silne filary w swojej organicznej budowie.

Ponieważ w pierwszych latach szkoły rolniczej w Dublanach tylko dwóch professorów i dyrektor zakładu nauki szkolne udzielać, i całym instytutem kierować mają, przeto po przyjęciu dwóch profesorów wedle mojej propozycji została-by do obsadzenia tylko posada dyrektora. Tu odezwały się głosy publiczne za panem Józefem Pepłowskim, teraźniejszym profesorem nauk przyrodzonych w Grignon. Jeżeli rzadko kiedy głos publiczny jest mylny, to już tą razą niemógł być trafniejszy, niemogł przyjść z lepszą radą i bardziej w porę, jak wymieniając w tej chwili potrzebę dla nas pana Józefa Pepłowskiego.

Jeżele się niemylę, to komitet uwzględniając tę myśl szczęśliwą, rozpoczął z panem Pepłowskim układy o przyjęcie posady dyrektora zakładu rolniczego w Dublanach. Aby zaś szanownego czytelnika bliżej zapoznać z panem Józefem Pepłowskim, przejdę w następnym liście jego zawód naukowy, a uczynię to z tem większem zadowoleniem, bo zajmuję głos w sprawie dobra narodowego. (D. c. n.)

Rozmaitość.

* W Paryżu w teatrze Gymnase występuje teraz trupa hiszpańskich tancerzy, a pomiędzy niemi prawdziwa córa Grenady *Perea Nena, revoltante de beauté*. Mimo to, skrzące jej oko wabi i zachwyca wszystkich.

Jednoaktowa komedyjka służy za pretext tancerzom. Co to za sztuka? — nikt nie wie, bo nikt nie słucha ani patrzy na aktorów:

mówią co chcą, grają jak im się podoba. Jakże tu uważać, kiedy za kulisami słychać szmer falban i stłumiony odgłos niecierpliwiących się kastanietów? Tam wzrok i słuch zwrócony: każdy radby żeby jak najprędzej tańce rozpoczęto.

Nareszcie budkę suflera usuwają, podnosi się w głębi kurtyna, i całe stado hiszpanek leci ku scenie, wyrzucając naprzód końce maleńkich atłasowych trzewiczków, klaszcząc z rosnącym zapałem w kastaniety z kości słoniowej.

W pośród nich Nena w czarną hiszpańską mantylę owinięta, biegnie ledwie ziemi tykając, jak sewilska dziewczyna na umówioną schadzkę. Przybiega tak nad sam brzeg sceny; nagle zrzuca mantylę, i staje w całym blasku szalonego ubioru. Spódniczka jej jak kwiat ojczysty, kaktus, mieni się w jaskrawe kolory; gorący pons walczy nań z fiioletem. Aksamitny kaftanik haftowany złotem, srebrem, perłami i drogiemi kamieniami, rzuca tysiące świateł; na ramionach zwłaszcza gęste hafty i dyamenty błyszczą jak promień hiszpańskiego słońca.

Nena jest szczupła; ręce i nogi bajecznej małości, tyle tylko, ile potrzeba żeby uchwycić kastaniet, i obuć lilipuci trzewiczek. Stanęła chwilę; w tem muzyka zagrała żywiej, a ona, zanim jeszcze na twarz kto spojrzał, puściła się jak strzała w taniec: i nic już nie widać w tym wirze, tylko błysk dyamentów, błysk oczu i błysk białych zębów. Na szczęście uklękła. Teraz można jej się przypatrzyć. W tył się przechyla tak, że plecami ziemi dotyka, a nad głową złotą szarfą powiewa. Cerę ma śniadą, brwi czarne jak węgiel, oczy skier pełne, a usta... Usta tak maleńkie, że, jak mówi jakiś poeta o sewilskiej dziewczynie «zaledwie na nich ćwierć pocałunku się zmieści.«

Zaledwie uklękła, zaledwie odetchnęła, zbiegają się towarzyszki, w uszy kastanietami klaszczą; ona znów zrywa się i z podwójnym biegiem zawodzi nowy taniec, szybszy, wścieklejszy... Patrzącym w głowie się zawraca: pojąć trudno, że tancerka nie skona w takim tańcu, jak motyl trąbą wichrową porwany.

Perea Nena nie podobna wcale do Petry Camary, która zeszłego roku zachwycała Paryżanów, i której Dumas sardanapalską ucztę wyprawił, zgromadziwszy wszystkich artystów z starego i nowego świata. Wybór jednak pomiędzy niemi trudny; tamta powabniejsza, ta żywsza; oryginalność jej leży w niesłychanej lotności, i dziwnej precyzyi tańca.

* Pan Maury, znany w uczonym amerykańskim świecie, podał projekt ministrowi marynarki Stanów Zjednoczonych, w którym oświadcza, iż przeprowadzenie podwodnego telegrafu między Europą a Ameryką, uważa za rzecz wykonalną. Twierdzenie swoje rozbiera i zastosowuje praktycznie. Linią telegraficzną zakreśla od przylądku położonego na północ cieśniny Belle-Isle, do Irlandyi. «Na przestrzeni 1600 milowej, dzielącej Belle-Isle od Irlandyi, mówi pan Maury, dno morskie zupełnie równe jest jakby umyślnie przyrządzona podstawa do wyciągnięcia telegraficznych drutów. Woda ani nadto głęboka, ani nadto płytka, zabespiecza telegraf od pływających lodów, a nie utrudnia założenia drutów. Głębokość morza na tej linii wynosi 1500, do 2000 sążni. Na dnie nie ma ani prądów, ani roślinności; spokojne jak jezioro. Przekonałem się o tem dokładnie, sondując wymienione miejsce długo i uważnie. Na tej przestrzeni dno morski e pokryte jest warstwą drobniuchnych muszli; nigdzie niema piasku lotnego, co najlepiej dowodzi spokojności wody: inaczej bowiem muszle zmieszałyby się z piaskiem lub żwirem.«

«Z tego wynika, że druty telegraficzne raz położone, będą tam spoczywały bezpiecznie jak w pudełku. Zaprowadzenie więc telegrafu z cieśniny Belle-Isle aż do Irlandyi, nie przedstawia żadnych trudności.»

W celu przyspieszania tego tak ważnego połączenia starego z nowym światem, które nie obliczone korzyści przyniesie Ameryce, p. Maury proponuje, aby rząd Stanów Zjednoczonych naznaczył nagrodę kompanii, która pierwsza drut telegraficzny przez ocean przeciągnie.

* Odbyła się niedawno w Bytown (w Kanadzie) wielka wystawa niemowląt. Dwie nagrody po 60 dolarów otrzymali dwa najsilniejsze chłopaki: jeden 16, drugi 18 miesięcy liczący. Po rozdaniu nagród, prezydujący sędzia wystawy miał długą mowę, w której wyliczył mnogie korzyści nowej instytucyi. «Prowadzi ona, zawołał, wprost do odrodzenia ludzkości! Konkursa w Anglii poprawiły rassę końską: my rassę człowieczą poprawiamy!»

Słysząc to matka jednego z Goliatów w kolebce, jeszcze cała rozradowana zwycięztwem syna, i wzruszona przemową, wyszła z tłumu i oświadczyła sędziemu, że jeżeli się cena nagród utrzyma, ona na przyszłą wystawę obowiązuje sie przynieść jeszcze większego, rumiańszego i tłustszego chłopca niż ten, któremu pierwszą przyznano nagrodę.

Trzy salwy zadowolenia przywtórzyły tej patryotycznej i naiwnej obietnicy. B. W.

* Rzeźbiarz Klossinger, zięć pani George Sand, odlał z alabastru piękny medal na pamiątkę Chopina. Głowa muzyka spoczywa na lutni. Piękną tę myśl podała matka, a zięć znakomicie wykonał.

Znaczenie poprzedniej szarady: **Kaleka.**

Szarady przez J.

1. Pierwszą wymawia kto daje,
We Włoszech płynąca droga,
Trzecia z czwartą, był tamże Boży sługa,
Wszystko zaś, podbijało kraje.

2. Pierwszą opuść, trzem ustąpisz z drogi,
Drugą z trzecią zachowaj, bo masz nakaz srogi,
Chociaż w czterech lecz trzy czytaj, bez jednej litery,
A będziesz miał smaczne i słodkie desery.
Wszystko razem różnobarwne dwojako się mieni,
A ozdobą jest jesieni.

3. Przebytek słodyczy,
Trzy sylaby liczy,
Pierwsza z trzecią wiezie bryka,
Druga zaś z trzecią zajęcie kuchcika,
A gdy całość jest początek,
Znajdziesz łatwo tejże wątek.

4. Sto pierwsza sylaba, druga nazbyt krótka,
Całość, do obsadzenia ogródka.

5. Pierwszą znajdziesz w alfabecie,
Druga rzeka dobrze znana,
Potrzebnemu czyń jak trzecie,
Wszystko na usługi pana.

Przyjechali od dnia 6. do 7. sierpnia do Lwowa:
PP. Konopka Kazimierz br., z Biskupiego. Nikorowicz Józef, z Spasa. Sharbek Władysław hr., z Tarnopola. Herba Tomasz, z Glinian. Turczyński Jan, ze Żółkwi. Udrycki Adolf, z Choronowa. Ustrzycki Walerian i Włodzimierz ze Zamiechowa. Barański Karol, z Chłopczyc. Barański Michał, ze Sambora, Russocki Włodzimierz, z Dulib.

PP. Karnicki hr., z Rogózna. Tretter Konstanty, z Łonia. Lipiński Gustaw, z Olłowa. Jankowski Ludwik, z Brzeżan. Pfau Henryk, z Krakowa. Manasterski Józef, z Błażowa. Jarosławski Grzegoż, z Pustomyt. Sartyni Antoni, z Jabłonowa. Glixelli Teodor, z Glinian. Grochowalski Zygmunt, ze Swirza. Stefanowicz Kajetan, z Krakowa.

Wyjechali od dnia 6. do 7. sierpnia ze Lwowa:

PP. Bielecki Franciszek, do Jasiniec.

PP. Lewicki Józef, do Bonowa.

Wczorajszy. Kurs lwowski.

	Gotówką				towarem			
Dukat holenderski	złr.	5	kr.	29	złr.	5	kr.	33
Dukat cesarski	„	5	„	34	„	5	„	37
Półimperyał zł. rosyjski	„	9	„	40	„	9	„	45.
Rubel srebrny rosyjski	„	1	„	52	„	1	„	53.
Talar pruski	„	1	„	46	„	1	„	47.
Polski kurant i pięciozłotówka	„	1	„	21	„	1	„	22.
Galicyjskie listy zastawne za 100 złr.	„	—	„	—	„	—	„	—.

Obligacye indemnizacyjne 74 do 75 Złr. — kr.

Kurs telegrafowany z Wiednia 7. b. m. o g. 2 popołud.

Amszterdam	99¾.	Medyolan za 300 lirów	117½.
Augsburg za 100 złr.	119¼.	Paryż za 300 franków	138⅝.
Bukareszt	78	Agio duk. ces.	—
Frankfurt za 120 złr. podług 24½ stopy	118¼.	Srebra agio	19.
Genua	—.	Pożyczka 5% 85¼. 4½	74⁷⁄₁₆.
Hamburg za 100 tal. banco.	88.	Pożyczka lit. B.	—
Konstantynopol	—.	Akcye banku	1263.
Liwurno	—.	Kolej północna	1735.
Londyn za 1 funt szterl.	11. 35.	Obl. ind.	81½
Marsylia	—.	Nowa pożyczka z loteryą	—

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą: **H. W. Kallenbach.** Z drukarni **E. Winiarza.**